

NAJWAŻNIEJSZE PROBLEMY W SKARGACH ODBIORCÓW NA MEDIA W OKRESIE STYCZEŃ 2007 - MAJ 2008

Dla porządku nadajemy im hasłowe nazwy:

- **Ataki na sędziów**
- **Kryzys dziennikarstwa śledczego**
- **Ekspozowanie drastycznych zdjęć**
- **Instrumentalne traktowanie osób, występujących w reportażach, zwłaszcza telewizyjnych**
- **Pochopne kwalifikowanie błędów lekarskich**
- **Niesłuszne, albo nie udokumentowane oskarżenia o tajną współpracę z SB kolegów z mediów**
- **Epidemia tzw. pogłosek, przecieków**
- **Fałszywie pojmowana niezależność dziennikarza**

AD: ATAKI NA SĘDZIÓW

Ta sytuacja szczególnie nasiliła się za poprzedniego ministra sprawiedliwości. Obecnie imienne ataki na sędziów nie występują już w takim natężeniu, ale też nie wyciszyły się zupełnie, m. in. dlatego, że dziennikarzy zachęca lider PiS Jarosław Kaczyński.

Kilkakrotnie z niepokojem zawiadamiało nas o problemie Stowarzyszenie Sędziów Orzekających Justitia.

Najnowszy przykład, to brutalny atak na sędzię Barbarę Piwnik, że wypuściła z aresztu siedmiu bezwzględnych bandytów, którzy dokonali kilkunastu porwań dla okupu. Dziennikarze śledczy z „Wprost” **ustalili** (to ich określenie), że „ci bandyci sekatorem obcinali ofiarom palce i wysyłali rodzinom. Krewni płacili setki tysięcy, a czasem nawet miliony euro okupu. (...) Decyzja sędzi Piwnik wprawiła w osłupienie policjantów, porwanych i ich rodziny”..

W alarmującym artykule, natychmiast przedrukowanym w Wirtualnej Polsce, znalazły się drastyczne szczegóły, którymi potem internauci epatowali się w swych komentarzach.

W sukurs tygodnikowi Wprost piszącemu o Barbarze Piwnik w sposób obelżywy, pośpieszył dziennik Polska. Zbiegło to się z wypowiedzią Jarosława Kaczyńskiego w publicznej telewizji, że Barbara Piwnik w ogóle nie powinna sądzić, ponieważ się do tego nie nadaje.

Gdyby dziennikarze z Wprost chodzili na rozprawy sądowe w tej sprawie, albo wcześniej przeczytali akta prokuratorskie wiedzieliby, że sprawa „gangu obcinacze palców” zmierza - z powodu niechlujnie prowadzonego prokuratorskiego śledztwa - do wielkiej kompromitacji. I sędzia Piwnik, jeśli ma przestrzegać prawa, nie miała innego wyjścia, jak wypuścić z aresztu kilku oskarżonych, zresztą są to pionki w tej sprawie.

Bez pardonowo po raz kolejny atakuje imiennie sędziów naczelny Gazety Polskiej Tomasz Sakiewicz. Niewątpliwie ma to związek z osobistym konfliktem tego dziennikarza ze zbyt nerwowym sędzią sądu warszawskiego, który wobec kolejnego niestawienia się Sakiewicza na rozprawę – sprawa karna z powództwa TVN – zagroził, że skorzysta z możliwości osadzenia pozwanego w areszcie na 48 godzin przed wyznaczoną wokandą, aby mógł złożyć wyjaśnienia.

Sakiewicz zareagował na tę rzeczywistość zbyt rygorystyczną decyzją zorganizowaniem demonstracji w obronie rzekomej wolności słowa a także opublikował w Gazecie Polskiej artykuł Grzegorza Wierchołowskiego p.t. „Sędziowska Camorra”, gdzie na przykładach konkretnych nazwisk sędziów stwierdzono, że polskim sądownictwem rządzą mafijne układy. Bez wnikania w szczegóły - prawda jest taka, że tylko w jednym z nagłośnionych przypadkach można podejrzewać skorumpowanie sędziego. Pozostałe przykłady są zwykłymi pomówieniami.

Skoro tak postępują pisma opiniotwórcze, trudno dziwić się tabloidom, które niejako z racji swej formuły posługują się prostackim słownictwem. Dziennik Fakt np. artykuł o sześciu sędziach Trybunału Konstytucyjnego (są zdjęcia) opatruje tytułem: „Agenci chcieli oceniać lustrację”.

To głośne w ub. roku oskarżenie okazało się bezpodstawne.

Ta sama gazeta opublikowała zdjęcie prezesa sądu okręgowego oraz psa policyjnego pod wspólnym tytułem: „Jeden wart drugiego”. W innym numerze, w związku z wyrokiem sądu rodzinnego w Katowicach, dziennikarz napisał: „Temida ma być ślepa. Ale to nie znaczy, że do tego ma być głucha i głupia”.

Tam, gdzie mieliśmy okazję, protestowaliśmy przeciwko kreowaniu negatywnego wizerunku sędziego w mediach, wychodząc z założenia, że nie sprzyja to umacnianiu konstytucyjnej zasady państwa prawa, którego podstawą jest zaufanie obywateli do organów państwa.

Nie znaczy to, że REM jest przeciwna komentowaniu wyroków sądowych w mediach. Nasz protest budzi fakt, że w relacjach nie zawsze są rzetelnie przedstawiane motywy wyroku; zamiast bezstronnego wyjaśnienia, kompetentnej opinii, przytacza się komentarz niezadowolonej strony, albo zdanie polityka sugerującego, że na treści wyroku zaważyły względy pozamerytoryczne.

AD: KRYZYS DZIENNIKARSTWA ŚLEDZCZEGO

W ostatnich miesiącach otrzymaliśmy kilka pism od niegdysiejszych negatywnych bohaterów publikacji śledczych, którzy po latach procesowania się wygrali w sądach z redakcjami i teraz domagają się od REM oceny etycznej postawy autorów tych artykułów.

Ponadto chcieli, aby Rada ustosunkowała się do faktu, że większość autorów została za te właśnie oszczercze publikacje uhonorowana prestiżowymi nagrodami dziennikarskimi.

Było to dla nas przykre zadanie, bo z góry narażało na konflikt z redakcjami szczącymi się, że są kuźnią dziennikarstwa śledczego, autorami oraz organizacjami, które zresztą w dobrej wierze wyniosły tych dziennikarzy na piedestał laureatów.

Nie wdając się w szczegóły, (materiał na ten temat znajdzie się na stronie internetowej REM), za równie naganne, jak pomówienie bohatera publikacji śledczej, uważamy odmowę redakcji zamieszczenia sprostowania, zwłaszcza, jeśli jest zobligowana prawomocnym wyrokiem sądowym.

Dobitym wyrazem lekceważenia sądu i prawa prasowego jest też taka praktyka: redakcja zamieszcza nakazane wyrokiem sprostowanie, ale równocześnie, w tym samym numerze gazety, czytelnik znajduje obszerny artykuł autora kłamliwej publikacji, w której pisze on, że nie zgadza się z sądem, bo... I tu jeszcze raz powtarza te same oskarżenia, które doprowadziły do wyroku sądowego.

Analiza dokumentacji kwestionowanych artykułów śledczych wskazuje, że ich autorzy z reguły nie poczuwają się do winy gdy okazuje się, że napisali nieprawdę. Nawet, gdy przegrają w sądzie, nadal przy każdej okazji wypowiadają się o swym sądowym adwersarzu jak o przestępcy. Jest to działanie na zmęczenie przeciwnika, któremu na ogół brakuje już determinacji do dalszej walki.

Takie praktyki panują nie tylko w małych terenowych gazetach, ale również w dużych tytułach, jak w Rzeczpospolitej, Newsweeku, Wprost, Naszym Dzienniku.

Żeby już nie odwoływać się do głośnych zniestawień byłych prominentów z okresu rządów lewicy, który atakowani w latach 2003-4 zwłaszcza przez dziennikarzy Rzeczpospolitej, po latach sądenia się jeden za drugim wygrywają procesy z dziennikarzami śledczymi, powołam się na najnowszy wyrok w sprawie byłego prezydenta Łodzi Marka Czekalskiego.

W 2001 roku dziennikarze śledczy z kilku pism równocześnie „wytropili”, (taki szczególny zbieg okoliczności: w czasie się kampanii wyborczej. Czekalski kandydował z UW), że jest on łapownikiem, przyjął 844 tys. złotych łapówki w zamian za decyzje korzystne dla budujących w mieście hipermarkety. Tuż po tych publikacjach Czekalski został spektakularnie aresztowany. Na wolność wyszedł za poręczeniem, a pod koniec ub. roku sąd go uniewinnił.

Niestety, nawet w relacji z ogłoszenia wyroku ci dziennikarze, którzy wcześniej pisali o Czekalskim jako o skorumpowanym, eksponowali w tekście mowę prokuratora. Uniewinnienie oskarżonego jakoś się rozmyło.

Naszym zdaniem ta wysoka fala przegranych procesów przez tuzy dziennikarstwa śledczego i to w przypadku kilku znanych nazwisk wielokrotnie, (właściwie, co nagrodzony artykuł, to po latach trzeba za wszystko odwoływać, przeproszać) powinna wywołać środowiskową dyskusję, jakie powinny być standardy w tej specjalizacji.

Wydaje nam się, że żadnym usprawiedliwieniem dla redakcji jest zapowiedź dziennikarza śledczego, że nie zgadza się wyrokiem i kieruje sprawę do Strasburga. Życzymy mu wygranej, ale prawomocne wyroki sądów polskich w sprawach o pomówienie należy respektować. Zwłaszcza, że od czterech lat sądy z zasady kierują się niezwykle korzystnym dla dziennikarzy śledczych orzeczeniem Sądu Najwyższego stwierdzającym, że „przeprowadzenie dowodu prawdy nie jest konieczne do wykazania braku bezprawności działania”. I z tego powodu często oddalają skargę powoda.

Kryzys dziennikarstwa śledczego dostrzegła także Fundacja im. Stefana Batorego, od lat organizator prestiżowego konkursu „Tylko ryba nie bierze?” Gdy zaczęły do niej napływać orzeczenia sądowe o przegranych procesach laureatów, zdjęła nagrodzone artykuły rekordzisty w tej przykłej konkurencji i w ogóle zaniechała kontynuacji tego konkursu. A szkoda, to jak wylanie dziecka z kąpielą.

Rzetelne dziennikarstwo śledcze, słusznie uznawane jest za koronę umiejętności w tym zawodzie. Z takim przekonaniem wypowiedzieliśmy się w oświadczeniu na temat Doroty Kani, gdy po oskarżeniu jej przez lobbystę Marka Dochnała w wielu mediach wydano już na nią wyrok, (w TVN 24 na tzw. pasku, że grozi jej 8 lat więzienia).

Przypomnieliśmy, że zajmujący się wykrywaniem nieprawości dziennikarz śledczy sam musi pozostawać poza jakimkolwiek podejrzeniem i nie może postępować dwuznacznie w sytuacjach, które wiążą się z wykonywanym zawodem. Z drugiej strony – wszelkie zarzuty wobec dziennikarza śledczego muszą zostać do końca wyjaśnione, gdyż narażają go na utratę wiarygodności. Przed wyrokiem niezawisłego sądu nie wolno nikomu uznać dziennikarza śledczego za winnego, a pomówień za prawdę.

Jest bowiem oczywiste, że z powodu swego działania, ma on wielu przeciwników i często bywa oskarżany niesłusznie, wręcz szkalowany.

Notabene bardzo się nam dostało za to oświadczenie od Gazety Wyborczej. Chyba nie zrozumiano tam naszych intencji.

AD: EKSPONOWANIE DRASTYCZNYCH ZDJĘĆ

Musi być ilustracja - oto pierwsze przykazanie, które w większości redakcji wbija się do głów startującym w zawodzie dziennikarskim. Artykuł bez zdjęcia, to nedoróbka, może wylądować w koszu. A w najlepszym razie długo poczeka na druk. W telewizji obraz, to w ogóle podstawowy kanon.

Niestety, czasem z tego powodu dochodzi do drastycznego sprzeniewierzenia się Karcie Etycznej Mediów. Takim etycznym nadużyciem jest publikowanie zdjęć zmarłych, fotografowanych w sytuacji, która odziera te osoby z godności.

Dwa przykłady: w lokalnym tygodniku Nowa Gazeta Jaworska br. na pierwszej stronie została wybita informacja, że pewna mieszkanka Jawora odebrała sobie życie. Jest zdjęcie, na którym widać wiszącą na gałęzi kobietę.

Redakcja Życia Łomianek pokazał na okładce dopiero co wyciągnięte z wody ciało utopionego w Wiśle mężczyzny. Gdy do redakcji zatelefonowała oburzona czytelniczka usłyszała, że nie mogło dojść do naruszenia dóbr osobistych ofiary, ponieważ wygasły one w chwili śmierci.

Dobrze się stało, że z tego powodu SDP napiętnowało tę redakcję „Hieną roku 2007”.

To drastyczne przykłady, na szczęście nie występujące nagminnie. O wiele częściej osoba pokazana w mediach jest ofiarą dziennikarskich manipulacji.

W wychodzących w Rzeszowie "Super Nowościach" ukazało się na pierwszej stronie duże zdjęcie pewnej urzędniczki miejscowego urzędu skarbowego, jako ilustracja do hitu numeru p.t. "Podatek, albo śmierć". Autor swej publikacji włączył się do kampanii medialnej o nieudolnych pracownikach skarbowych, którzy nie mając racji, straszą podatników i są nawet w stanie doprowadzić ich do śmiertelnego zawału.

Sęk w tym, że sfotografowana pani jest wzorem urzędniczych cnót. Pozowała do zdjęcia z myślą, że to będzie dla niej wyróżnieniem za sumienną pracę. Tak zapewniał ją fotoreporter.

Z drastycznym naruszeniem prawa do ochrony własnego wizerunku przez telewizję Polsat spotkaliśmy się w skardze od małżeństwa P. spod Sochaczewa.

W programie „Interwencje” wyemitowano reportaż o brutalnym zabójstwie dwojga mieszkańców z Sochaczewa. Głównymi świadkami w tej sprawie jest małżeństwo P. Widzieli morderców, zawiadomili policję. Dziennikarze „Interwencji” namówili P. do wystąpienia przed kamerą. Zgodzili się pod warunkiem zmiany ich personaliów i zasłonięcia twarzy, ponieważ mordercy są na wolności. Tymczasem zobaczyli się na ekranie w całej okazałości, choć ze zmienionymi nazwiskami. W kontekście słów, że reporter dotarł do osób, które widziały przestępców.

Państwo P. złożyli skargę do producenta programu „Interwencje”; została zbagatelizowana. Poinformowano ich, że gdyby redakcja otrzymała od występujących w audycji wyraźną dyspozycję o konieczności "wymaskowania" twarzy, z pewnością by się do tego zastosowała. Pan P. twierdzi, że przed nagraniem postawił taki warunek. Ma na to świadka. Sprawa dotarła do sądu z powództwa małżeństwa P. Przegrali w sądzie rejonowym, złożyli apelację do okręgowego.

Założmy jednak, że niefortunni bohaterowie „Interwencji” wbrew temu co twierdzą, zapomnieli uprzedzić nagrywającego, aby nie pokazywał ich w sposób, umożliwiający mordercom rozszyfrowanie. A sam dziennikarz tego nie wiedział? Musiał zdawać sobie sprawę z konsekwencji ujawnienia najważniejszych świadków, podobnie jak cała ekipa telewizyjna. Los małżeństwa P., które notabene wykazało w dramatycznych chwilach wiele odwagi i wrażliwości na czyjąś krzywdę, autorów programu nie interesuje. Zaryzykowano ich bezpieczeństwem, może nawet życiem, dla większej sugestywności programu.

Sądowy konflikt Państwa z redakcją „Interwencje” TV Polsat można by nazwać groteskowym, gdyby nie poważne jego konsekwencje. Nie dość, że zostali skrzywdzeni przez dziennikarza, to jeszcze w wyniku przegrania procesu – na szczęście nie na etapie prawomocnego wyroku – zasądzono tym małrolnym rolnikom na rzecz telewizji koszty sądowe - ponad 5 tysięcy złotych.

AD: INSTRUMENTALNE TRAKTOWANIE OSÓB, WYSTĘPUJĄCYCH W REPORTAŻACH, ZWŁASZCZA TELEWIZYJNYCH

W programie "Interwencje" (Polsat) wyemitowano reportaż o brutalnym zabójstwie emerytów z Sochaczewa. Głównymi świadkami w tej sprawie jest małżeństwo P. Widzieli morderców, zawiadomili policję. Dziennikarze "Interwencji" namówili P. do wystąpienia przed kamerą. Zgodzili się pod warunkiem zmiany ich personaliów i zasłonięcia twarzy. Tymczasem zobaczyli się na ekranie w całej okazałości, choć ze zmienionymi nazwiskami. W kontekście słów, że reporter (chodzi o Piotra Owczarskiego) dotarł do osób, które widziały przestępców. Mordercy są na wolności i wiedzą już, kto zawiadomił policję.

Państwo P. złożyli skargę do producenta programu "Interwencje". Jerzy Kamiński zbagatelizował ich zastrzeżenia twierdząc, że nie mają powodów do niepokoju. A poza tym - gdyby redakcja otrzymała od występujących w audycji wyraźną dyspozycję o konieczności "wymaskowania" twarzy, z pewnością by się do tego zastosowała. Pan P. twierdzi, że przed nagraniem postawił warunek o nie fotografowaniu ich twarzy; ma na to świadka. Sprawa dotarła do sądu z powództwa małżeństwa P. W sądzie rejonowym w Płocku przegrali. Uzasadnienie orzeczenia jest kuriozalne; odnosi się wrażenie, że to małżeństwo P. powinno siedzieć na ławie oskarżonych. Na szczęście, wyrok nie jest prawomocny.

Założmy jednak, że niefortunni bohaterowie "Interwencji" zapomnieli uprzedzić nagrywającego, aby nie pokazywał ich w sposób, umożliwiający mordercom rozszyfrowanie. A sam dziennikarz tego nie wiedział? Musiał zdawać sobie sprawę z konsekwencji ujawnienia najważniejszych świadków, podobnie jak cała ekipa telewizyjna. Los małżeństwa P., które notabene wykazało w dramatycznych chwilach wiele odwagi i wrażliwości na czyjąś krzywdę, autorów programu nie interesuje. Zaryzykowano ich bezpieczeństwem, może nawet życiem, dla większej sugestywności programu. Do takiej postawy zachęca ich, sądząc po treści listu do małżeństwa P., sam producent.

Sądowy konflikt z redakcją „Interwencje” TV Polsat można by nazwać groteskowym, gdyby nie poważne jego konsekwencje. Nie dość, że P. zostali skrzywdzeni przez dziennikarza „Interwencji” Piotra Owczarskiego, to jeszcze w wyniku przegrania procesu zasądzono im wysokie koszty sądowe.

W kwestii wykroczeń dziennikarza Polsatu przeciwko kodeksowi karnemu nie wypowiadamy się – to już spór prawny. Uzasadnienie prok. Tomasza Bulca o umorzeniu dochodzenia z urzędu w sprawie narażenia małżeństwa P. na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia przez dziennikarzy TV Polsat (poprzez emisję

wizerunków), brzmi przekonująco. Ale warto jest podkreślenia, że w tym samym piśmie-decyzji prokurator podniósł, że „**bez wątpienia na skutek (...) ujawnienia twarzy świadków w programie telewizyjnym powstała sytuacja zagrożenia dla życia pokrzywdzonych.** Tyle, że nie było to zagrożenie bezpośrednie w rozumieniu art. 160 kk.

Prokurator uznał też, że niezależnie od kwalifikacji prawno karnej, „ocena zachowania dziennikarza z **moralnego i etycznie punktu widzenia musi być jednoznacznie negatywna. Nawet w przypadku dorozumianej czy wyraźnej zgody ze strony uczestników programu na ujawnienie ich wizerunków dziennikarze winni wykazać elementarne w tego typu sytuacjach poczucie odpowiedzialności za prezentowanych w programie uczestników**”.

Popierając ten pogląd chcemy ze swej strony przypomnieć postanowienia Karty Etycznej Mediów, bowiem sposób potraktowania P. przez red. Owczarskiego wskazuje na sprzeniewierzenie się co najmniej trzech zasadom Karty. A mianowicie

Zasadzie szacunku i tolerancji - czyli poszanowania ludzkiej godności, praw dóbr osobistych, a szczególnie prywatności i dobrego imienia.

Zasadzie pierwszeństwa dobra odbiorcy - co znaczy, że podstawowe prawa czytelników, widzów, słuchaczy są nadrzędne wobec interesów redakcji, dziennikarzy, wydawców, producentów i nadawców.

Zasadzie wolności i odpowiedzialności - co znaczy, że wolność mediów nakłada na dziennikarzy, wydawców, producentów, nadawców odpowiedzialność za treść i formę przekazu, oraz wynikające z nich konsekwencje.

W naszej opinii pokazanie wizerunku małżeństwa P. w audycji bez ich przyzwolenia jest też naruszeniem art. 49 ustawy prawa prasowego. Trudno zgodzić się z opinią prok. Tomasza Bulca z Prokuratury w Ciechanowie, że „wizerunki nie są danymi dotyczącymi prywatnej sfery życia”, a zatem nie doszło do naruszenia związanego z art. 49 prawa prasowego art. 14 ust. 6, który karze publikowanie „informacji oraz danych dotyczących sfery życia bez zgody osoby zainteresowanej.

Nawet, gdyby miał rację red. Owczarski twierdząc, że uzyskał zgodę na pokazanie twarzy, (czemu pan P. zaprzecza i co w świetle jego zachowań wobec innych mediów wydaje się nieprawdopodobne) to trzeba zauważyć, że obowiązkiem dziennikarza powinna być troska o to, aby nie wyrządzić informatorowi nawet mimowolnej krzywdy.

O tym, że red. Owczarski, a także producent programu Interwencje Jerzy Kamiński już w trakcie przygotowywania audycji zdawali sobie sprawę, że pokazywanie P. na wizji jako najważniejszych świadków morderstwa jest dla występujących osób niebezpieczne (zwłaszcza, że zabójców do dziś nie wykryto) świadczy to, że zmienili im nazwiska. Sami, bez konsultowania się z bohaterami audycji.

Wprawdzie ta próba ukrycia P. przed niepowołanymi widzami nie jest żadnym gwarantem bezpieczeństwa (mordercy widzieli ich) ale wiele wyjaśnia, jak naprawdę przebiegała rozmowa bohaterów reportażu z dziennikarzem Polsatu.

Ta okoliczność nie została jednak zauważona przez sąd.

Sąd przeszedł też gładko nad kłamliwym stwierdzeniem producenta programu, który w piśmie do P. oznajmia, że istnieje nagrany zapis rozmowy reportera TV Polsat z P., podczas której rzekomo uzyskał zgodę na pokazanie twarzy. W trakcie procesu okazało się, że to nieprawda.

W ogóle, lekkie potraktowanie tego „incydentu”, jak go nazywa Jerzy Kamiński i przypisywanie sobie w kontekście krzywdy P. cnót „realizatorów programu pełniącego bardzo odpowiedzialną misję społeczną” jest oburzające.

AD: OFIARY BŁĘDÓW LEKARSKICH

W omawianym okresie doszło do kilku spektakularnych aresztowań lekarzy, co z kolei wywołało w mediach lawinę publikacji na temat błędów lekarskich, stosunku służby zdrowia do pacjentów itp. Gdy oskarżające uogólnienia, przesądzenie o winie bez prawomocnego wyroku sądu przybrały szerszą skalę, wydaliśmy oświadczenie przypominające o szczególnej sytuacji chorych i ich bliskich, których łatwo zastraszyć i pozbawić nadziei.

W przypadku oskarżeń wobec dr. Mirosława Garlickiego i teatralizacji przekazu o jego zatrzymaniu, stwierdziliśmy, że wykorzystywanie tego przypadku do rozgrywek politycznych zasługuje na pogardę.

Szczegółowiej analizowaliśmy wykroczenia przeciwko Karcie Etycznej Mediów w korespondencji ze skarżącymi się i obwinianymi.

Tego rodzaju spraw było sporo, zatrzymajmy się na chwilę przy dwóch przykładach:

Redaktor Elżbieta Jaworowicz autorka „Sprawy dla Reportera” przygotowała program o konflikcie między lekarzami w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Krakowie Prokocimiu. Chodziło o to, że prof. Malcowi, który jest wybitnym kardiochirurgiem, ordynatorem, komisja dyscyplinarna UJ zarzuciła zbyt feudalne traktowanie podwładnych. Po kolejnej awanturze prof. Malec zrezygnował z pracy w szpitalu i zatrudnił się w klinice uniwersyteckiej w Monachium.

Trzeba jeszcze powiedzieć, że dyrektorzy szpitala w liście do red. Jaworowicz usilnie prosili, aby zrezygnowała z tak widzianego tematu, gdyż musieliby wywlekać na światło odzienne naganne postępowanie wybitnego lekarza, do którego mają zaufanie rodzice chorych dzieci. Autorka programu przygotowała jednak audycję – jej prawo. Ale kto staje w okopach? Profesora Edwarda Malca, o którego toczył się bój – nie ma. Jest w Monachium. Nie ma jego podwładnych. Nie ma dyrektorów szpitala. Jest rzecznik komisji dyscyplinarnej, który nie chce ujawniać drastycznych faktów z tzw. dziedziny stosunków międzyludzkich.

Po drugiej stronie okopów są rodzice szczęśliwie zoperowanych dzieci, dla których prawda prosta jak drut: zawistni lekarze szpitala krakowskiego zmusili do odejścia i wyjazdu za granicę najlepszego w Polsce kardiochirurga dziecięcego.

I jest też deklarujący się po ich stronę prof. Wolniewicz dyżurny filozof wielu audycji telewizyjnych, który krzyczy, ale nie na temat.

W ogóle jest dużo krzyku – podnoszą głos rozemocjonowani rodzice i jak zwykle – autorka programu. Niejako pointą tej audycji jest łza, która ociera Elżbieta Jaworowicz, gdy słyszy od rodziców, już nie będzie kto miał ratować od niechybnej śmierci noworodki ze skomplikowaną wadą serca. To jest scena adresowana dla tych widzów o kamiennym sercu, którzy jeszcze się zastanawiają, czy autorka „Sprawy dla Reportera” stanęła po właściwej stronie.

Nie ma informacji, że szpital po wyjeździe prof. Malca nie przerwał operacji, że są w Polsce jeszcze inne kliniki wyspecjalizowane w tego rodzaju zabiegach. Jest wywoływanie paniki.

Podobny skutek – przestraszenie chorych i ich rodzin osiągnął dziennikarz bydgoskiej prasy, autor artykułu o śmierci małego pacjenta w miejscowej prywatnej klinice. Dziecko zmarło na stole operacyjnym po prostym zabiegu, bowiem nie wybudziło się z narkozy. Dla ustalenia winnego toczy się proces sądowy, do dziś nie rozstrzygnięty. Mimo to miejscowy dziennikarz wydał wyrok, który zawarł w leadzie swego artykułu: „Lekarz odpowiedzialny za śmierć dziecka nadal operuje”. Skarżący się do nas ów chirurg jest bardzo rozgoryczony; w następstwie takiej publikacji stracił wielu pacjentów. A przecież, w odróżnieniu od anestezjologa, nie ma nawet postawionych zarzutów prokuratorskich.

AD:OSKARŻENIA KOLEGÓW O TAJNĄ WSPÓŁPRACĘ Z SB

Rada Etyki Mediów wielokrotnie podkreślała potrzebę lustracji dziennikarzy, jako środowiska stojącego na straży wartości demokratycznych. Również pozbawienie dziennikarzy dostępu do dokumentów, przechowywanych w Instytucie Pamięci Narodowej uznaliśmy za poważne ograniczenie wolności słowa.

Kiedy jednak w maju 2007 IPN zaczął publikować katalog osób typowanych przez SB na tajnych współpracowników, kontakty operacyjne, przypomnieliśmy, że materiały te nie są źródłem, na podstawie którego można oskarżać wymienione w nich osoby o rzeczywistość – świadomą i dobrowolną – współpracę z SB.

A taki charakter miał na przykład tytuł publikacji „Agenci wśród posłów” w Naszym Dzienniku, gdzie informowano m. in. o kontakcie internowanego posła Kazimierza Kutza z funkcjonariuszami SB sugerując, jakoby była to forma współpracy, albo jej zapowiedź.

Również prasowe wypowiedzi pod adresem znanego językoznawcy, Jana Miodka, nie poparte dokumentami IPN, uznaliśmy za karygodny przykład naruszenia zapisanych w Karcie Etycznej Mediów zasad uczciwości oraz szacunku i tolerancji.

Stwierdziliśmy, że jeżeli dziennikarz nie może przedstawić opinii publicznej materiałów, na jakich opiera swoje twierdzenia, musi się wstrzymać od ich wypowiedzania, bądź określić je wyraźnie, jako własne domysły czy opinie. Lustracja nie może być źródłem sensacyjnych newsów, które niszczą autorytety, budzą powszechną podejrzliwość, zatruwając atmosferę społeczną i szkodzą wiarygodności mediów.

Te opinie odnoszą się także do wyszukiwania agentów przez dziennikarzy wśród ich kolegów po fachu. Spotkaliśmy się z prawdziwymi dramatami skarżących się do REM. Oto jeden przykładów:

Marek Fańciszewski dziennikarz Telewizji Bydgoszcz a także gazety Express Bydgoski został oskarżony w TVP3, RMF FM i Expressie Bydgoskim o tajną współpracę z SB. Zaprzeczał, przedstawił korzystną dla niego opinię grafologa eksperta IPN, że jego podpis jest sfałszowany, co zostało także potwierdzone przez związaną z Helsińską Fundacją Praw Człowieka Obywatelską Komisją Dobrej Woli. Mimo to nie został publicznie przeproszony w formie, jaka byłaby dla niego satysfakcjonująca. No i odbiorcy tych mediów pozostali w przekonaniu, że mają do czynienia z agentem.

AD: PRZECIEKI, POGŁOSKI

W ubiegłym roku, pod koniec kampanii do sejmu, wielokrotnie w mediach pojawiły się informacje niejawne, pochodzące z przecieków, najprawdopodobniej od polityków, bądź osób bliskich wysokim szczeblom władzy państwowej.

Zrozumiałe, że dziennikarze korzystają z takich źródeł, jednak w sytuacji ostrej walki politycznej ogłaszane przecieki nierzadko wywoływały zamęt i nieufność do wszystkich uczestników życia publicznego.

W oświadczeniach na ten temat zwracaliśmy uwagę, że raz podana krotka informacja, czy wyrwane z kontekstu zdanie żyją własnym życiem, po setkach powtórzeń, mogą stać się gombromiczowską „gębą”, która przylega do ofiary na wiele lat. Z czasem wrzawa cichnie, a tropienie jak to było naprawdę, nikogo już nie interesuje. Dlatego korzystanie z przecieków, podsłuchów, pogłosek jest usprawiedliwione wyjątkowo, wtedy gdy naprawdę istotnych wiadomości nie można uzyskać inaczej. Poza tym tak zdobyty materiał dziennikarski wymaga dalszych weryfikacji.

Na przecieki, pogłoski zwróciliśmy szczególną uwagę podczas kampanii, ale one weszły już na stałe do arsenału dziennikarskich metod pracy.

Znamienny przykład z tego roku: to przytoczone właśnie z przecieku w Rzeczpospolitej rozmowy dra Garlickiego z kolegami-lekarzami; miały świadczyć o popełnieniu przez kardiochirurga błędu lekarskiego. Czytelnik nie dowiedział się od autora tekstu, że rozmawiano po stwierdzeniu śmierci mózgowej pacjenta, co jest przyjętym kryterium ustania życia, a w tym przypadku rozstrzygałoby o zaistnieniu lub nie zaistnieniu błędu.

AD: FAŁSZYWIE POJMOWANA NIEZALEŻNOŚĆ DZIENNIKARZA

Zdarza się, że dziennikarze, zwłaszcza młodzi, trafiają do redakcji, której linia programowa nie w pełni im odpowiada. W przypadkach, gdy naczelny nie drukuje, lub nie nadaje ich materiałów jako niezgodnych z ową linią, odwołują się do REM skarżąc się na „łamanie ich sumień”. Taka sytuacja zdarzyła się ostatnio w telewizji olsztyńskiej.

Nasza odpowiedź jest dla nich brutalna - niech zmieniają redakcje. Zanegowanie obowiązku lojalności wobec redakcji, którą wybrało się w warunkach pluralizmu, to fałszywe pojmowanie niezależności. Bo jakkolwiek jest oczywiste, że dziennikarze mogą popierać poszczególne partie czy ugrupowania, ale odbiorcy muszą wiedzieć, z jakim nastawieniem wobec rzeczywistości mają do czynienia, otwierając daną gazetę, włączając radio, lub telewizję.

Na koniec kilka uwag o naszej metodzie pracy i wynikających z tego problemach:

Nie jesteśmy powołani do sądenia ani redakcji, ani dziennikarzy, ani redaktorów, wydawców, nadawców, czy kogokolwiek. Nie orzekamy o winie ludzi, Rada bowiem nie ma możliwości przeprowadzania śledztwa i ustalania prawdy. Oceniamy tylko przekaz, który od mediów idzie do społeczeństwa.

Przyjęliśmy zasadę: na incydenty reagujemy w korespondencji z autorem lub redakcją, a publicznie wypowiadamy się o zjawiskach. W miarę możliwości unikamy jednak opisywania zdarzeń jednostkowych, wymieniania autorów z nazwiska. Ściąga to na nas zarzut „ogólnego moralizowania”, choć redukuje sferę domniemań, czy po prostu plotek.

Być może jednak, wobec postępującej tabloidyacji mediów o szerokim zasięgu, Rada będzie musiała bardziej egzemplifikować swoje opinie stanowiska w różnych sprawach.

Uważamy jednak, że nie można odstąpić od jednego: odróżnienie funkcji opisowych od opiniotwórczych; zachowywanie proporcji pomiędzy nimi, powinno stanowić jedną z podstawowych zasad etyki dziennikarskiej.

Niestety, do pomieszania tych ról dochodzi nawet w dużych opiniotwórczych pismach - np. w Gazecie Wyborczej. I to nie tylko w publicystyce politycznej. Oto przykład z działu kultury:

Rzecznik prasowa Teatru Wielkiego –Opery Narodowej zwróciła się do REM o rozpatrzenie jej utarczek z redakcją GW, która odmawia, albo opóźnia publikacje sprostowań odnoszących się do recenzji ze spektakli.

Jak wynika z nadesłanych nam kopii publikacji w GW na temat Opery Narodowej, w artykułach znajdują się liczne przekłamania, czynione z jednoznacznym celem. Mają one deprecjonować decyzje programowe obecnego dyrektora Opery, bądź też wykazać jego rzekome nieudolności organizacyjne.

Uznaliśmy, że Gazeta Wyborcza łamie zasady Karty Etycznej Mediów, a w szczególności zasadę pierwszeństwa dobra odbiorcy która mówi, że prawa czytelników do rzetelnej informacji są nadrzędne wobec interesów redakcji i dziennikarzy.

Publicystka działu kulturalnego ma prawo odnosić się krytycznie do linii programowej obecnego dyrektora Opery i może też darzyć wielką estymą jego poprzednika. Ale zajęcie tak zdecydowanego stanowiska wymaga szczegółowego przeprowadzenia dowodu prawdy. Nie wystarczą epitety. Krytyczny sąd trzeba starannie uzasadnić. I – żeby czytelnik sam mógł wyrobić sobie pogląd w danej sprawie, niezbędnym jest wysłuchanie drugiej strony. Tego wymaga właśnie wspomniana zasada dobra odbiorcy.

Często się zdarza, że jest ona opacznie pojmowana w redakcjach.

Przypominamy wówczas nasze stanowisko: wyrażanie ocen i opinii mieści się całkowicie w zakresie publicystyki, niezależnie od tego, czy zdaniem odbiorcy są one prawidłowe i sprawiedliwe, czy nie. Gdyby bowiem można było wyrażać tylko oceny i opinie zgodne z rzeczywistym stanem rzeczy (notabene – kto miałby taki stan ustalać?), publicystyka, polemiki i walka dziennikarzy z niewłaściwymi ich zdaniem przekazami innych mediów byłaby w ogóle niemożliwa. Ale podstawą każdej publicystyki muszą być fakty, z którymi trzeba zapoznać odbiorcę.

Czasem nam się zarzuca, że nie słuchamy stron, rzadko prosimy o wyjaśnienia autorów przekazu, na który ktoś się poskarżył.

Odpowiadamy, że nie widzimy takiej potrzeby, bo Rada nie mogąc dociekać prawdy – skarżący zwykle zarzucają dziennikarzom mijanie się z prawdą mówiąc najogólniej – i nie zakładając z góry złych intencji autora przekazu, analizuje i oceniamy tylko sam przekaz. Oczywiście zdarza się, iż zasięgamy informacji z innych źródeł, poza inkryminowanymi przekazami, nie ma to jednak charakteru konfrontowania stanowisk.

Ostatnio otrzymaliśmy skargę zespołu redagującego cykl programów „Misja specjalna”, na publikację w Gazecie Wyborczej i w dzienniku Polska.

Michał Bogusławski przygotował bardzo wnikliwą ocenę wszystkich tych audycji i choć jest ona wzorcowa z punktu widzenia REM, bo wszystkie oceny za punkt wyjścia biorą Kartę Etyczną Mediów, przefiltrowaną wiedzą autora reżysera telewizyjnego o technikach pracy za szklanym ekranem, podejrzewam że nie zadowolili ani skarżących się, ani oskarżanych. Bowiem autor tej opinii nie wydaje wyroku na zasadzie czarno białe, tylko wnikliwie analizuje poszczególne zarzuty – w jednym miejscu przyznając rację skarżonemu a w innym przypadkiem odmawiając im takiego argumentu.

Coraz częściej reakcja zganionych przez nas kolegów dziennikarzy jest taka, że zamiast podjąć merytoryczną rozmowę, bronią się już to odmawianiem Radzie reprezentatywności w środowisku, już to przewagą w naszym kilkuosobowym gronie takich, lub innych postaw ideowych, nawet sympatii politycznych.

Przykłady niedawne: Kiedy skrytykowaliśmy nadużywanie prowokacji dziennikarskiej przy okazji ujawnienie przez TVN "taśm Begerowej" ta stacja okrzyczała nas zwolennikami PIS. Kiedy indziej, wytykając dziennikarce Gazety Wyborczej nadużycie zaufania Danuty Waniek przez opublikowanie, bez uprzedzenia, telefonicznej rozmowy z nią, zasłużyliśmy na miano sympatyków lewicy...

Gdy bezpardonowo napadła na nas Gazeta Wyborcza (nie ujawniając „drzazgi” – chodziło o krytyczną ocenę w listownej korespondencji kilku publikacji tego dziennika) – natychmiast wziął nas w obronę red. Ziemkiewicz w Rzeczpospolitej.

Staramy się być obiektywni. I politycznie neutralni. Nie możemy stanąć po stronie słuchaczy Radia Maryja, gdy nas zarzucają listami w obronie biskupa Wielgusa, ale przyznajemy im rację, gdy domagają się napiętnowania red. Jacka Pałasińskiego, który na stronie internetowej TVN 24 przedstawił uczestników pielgrzymki słuchaczy tego Radia jako ciemny lud, szmalcowników i złodziei państwowego majątku.

W społeczeństwie dorobiliśmy się, jak wolno sądzić, stałego i uznanego miejsca. Wskazuje na to szybko rosnącą liczbą nadchodzących listów, (w roku 2006– 347 spraw), których nadawcami są ludzie wszystkich warstw, poziomów wykształcenia, zawodów, z wszystkich okolic kraju. Poinformowani, że nie możemy nic wskórać poza wyrażeniem opinii, z którą obwiniona redakcja czy autor nie musi się liczyć, nie okazują rozczarowania, potwierdzając, że właśnie na naszej opinii im zależy.

Coraz częściej opinie Rady bywają przedstawiane w procesach sądowych, jesteśmy proszeni na rozprawy jako obserwatorzy i w miarę naszych możliwości robimy to.

Autorytet Rady – wolno chyba już o nim mówić – poświadczają coraz liczniejsze zaproszenia do podzielenia się doświadczeniami ze strony organizacji i środowisk społecznych. Uczestniczymy w spotkaniach dyskusyjnych, konferencjach i seminariach zarówno związanych z szeroko pojmowaną problematyką mediów jak konferencja w Kijowie, zwołana przez państwa Trójkąta Wyszehradzkiego, a poświęcona wolności słowa w krajach Europy wschodniej, gdzie Maga Bajer wygłosiła referat o zadaniach REM, jak międzynarodowe sympozjum poświęcone badaniom rynku i opinii w Warszawie, konferencja o roli pracowników public relations, o problematyce lobbingu w przedsiębiorczości.

Dwukrotnie przewodnicząca i jej zastępca Maciej Łowiecki brali udział w Międzynarodowym Festiwalu Mediów – ważnej imprezie Uniwersytetu Wrocławskiego, Maciej Łowiecki wystąpił na I Kongresie Kultury Chrześcijańskiej zorganizowanym przez KUL, w której to uczelni również prowadził wykłady z etyki mediów. O zainteresowaniu naszą działalnością świadczy zaproszenie przedstawicieli REM na regularne spotkania z biskupem Nyczem, do Salonu prof. Dudka we Wrocławiu, na dyskusyjne spotkania ludzi nauki, artystów i polityków.

Problematyka, którą się zajmujemy jak również nasza działalność stały się tematem kilkunastu prac licencjackich i magisterskich pisanych na studiach dziennikarskich oraz jednej pracy doktorskiej.

Oznaką zrozumienia wagi zebranych przez Radę doświadczeń jest powołanie w ubiegłym roku Magdaleny Bajer i Macieja Łowieckiego w skład Komitetu Etyki w Nauce przy Prezydium PAN.

Helena Kowalik sekretarz REM

Warszawa, maj 2008